

— Nauczycie się — uśmiechnęła się — przyda się wam przy zamążpójściu.
 — Ani myślę prowadzić własnego domu, od tego są hotele i restauracje.
 — Ja tak samo.
 — Ale, ale koledzy — zawołał Edmund — jakże nazwiemy nasze towarzystwo?
 — Prawda!
 — To rzecz ważna!
 — Ja proponuję Słońce! — zawołała Baumritt.
 — Słońce?... To zanadto pretensjonalne — skrytykował jeden z uczestników.
 — Więc nazwijmy Prawdą! — odezwał się inny.
 — Prawda, nic nie mówi, nie grozi — rzekł Waldman — ja jestem za Siłą! To jest już coś wielkiego, mocnego.
 — Co za siła? piętnastu! — zadrwiła Eisenfach.
 — Koledzy, ja mam nazwę — zaczął Schweiger — ona wydaje mi się dobrą. Pomożemy się zebrać? Aby siebie oświecać i innych. Jakie nasze dążenie? Aby zniszczyć, spalić, zrównać ze ziemią ustrój kapitalistyczny. A jakie słowo to razem wyraża? Pochodnia! ona oświeca, ona podpala. Czy źle?
 — Zgoda!... Niech będzie „Pochodnia!“

IV.

Po dłuższej slocie nastąpiły jasne, pogodne dni jesienne, pełne niewysłowionej tęsknoty, czaru, poezyi i barw, ostatnich uśmiechów kwiatów, które z ufnością niemal dziecięcą garnęły się do słońca, do światła, do życia.

Ogród miejski, przez który Olga przechodziła do uniwersytetu na popołudniowe wykłady, pełen był blasków opalowych, łagodzących jaskrawe barwy purpurowych i żółtych liści drzew.

Najłżejszy wietrzyk nie poruszał gałązkami i w ogrodzie panowała dziwna, cmentarna cisza, bez bólu, cierpień, rozpacz i łez. Cicho, bez szelstu padały liście, tworząc barwny kobierzec na trawnikach i drożynach, kładły się do snu nicości, a nad niemi, jak pomniki nad grobami, stały w grupach astry, lewkonie, floksy, zapatrzone w blade promienie słońca.

Olga, ubrana w ciemny, elegancki kostium, przywieziony z Petersburga, z kajetem w ręku, zwolniła kroku i rozmarzonymi oczyma wodziła po wielkim, pustym ogrodzie. Cicha melancholia dnia zbudziła w niej wspomnienia i opanowała ją tęsknota nieokreślona za czemś dalekim, dobrem, słodkim, kochającym, czego sama nie potrafiłaby nazwać i zobrazować.

I przypominały się jej smutne, jednostajne dni dzieciństwa, spędzane z guwernantką, rozdzielone systematycznie pomiędzy naukę, spacer, jedzenie, spoczynek, a jedynymi jaśniejszymi chwilami były odwiedziny matki, zawsze strojonej, zawsze spieszącej się na wizyty, wycieczki, zabawy.

Przed oczyma jej przesunął się obraz matki, młodej, ładnej... i ostro, prawie boleśnie zarysowało się wspomnienie, gdy poprowadzono ją do posępnego pokoju, przepelnionego zapachem żywych kwiatów, woskowych świec, i ujrzała matkę w białej, bogatej sukni, zimną, obojętną, leżącą w metalowej trumnie.

I znów wlokły się dni smutne, jednostajne, podobne jedne do drugich, miarowe, jak przesypywanie piasku w klepsydrze...

Przypomnienia te podziały osłabiająco na jej wolę, energię, siłę, uczuła konieczność odpoczynku, wytchnienia i usiadła na najbliższej ławce, pogrążona w rozgrzebywaniu przeszłości.

Zbudził ją wesoły, dzwiczny głos Heleny Borwiczówny:

— Wyglądasz jak śpiąca królowa, o czym marzyłaś?

Wzdrygnęła się, jak człowiek nagle przebudzony, i spojrzała osowiało, wpół nieprzytomnie oczyma.

— Czyż podobna jestem do zbója lub zbira, że patrzysz na mnie tak przerażona.

— Zaśmiała się — chodź na fizyologię roślin już czas.

— Dobrze... pójdziemy... usiądź na chwilę.

— Nie lubię bezcelowych spoczynków, wstań Olgo, otrząśnij się z lenistwa.

Energia Heleny podnieciła Olgę, wstała, a gdy szły dalej:

— Dziś, przy takim pięknym dniu nie chciało mi się iść do dusznej sali.

— I wolałaś jak „dziewczę z białego dworku“ — zaśmiała się — śnić, nie wiedząc o czym? Kochać, nie wiedząc kogo? Tęsknić, nie wiedząc za czym? Masz wszelkie dane, aby zostać bohaterką roman-
 sów.

— Co w sercu, to na języku — uśmiechnęła się Olga — i jak to znać, że głęboko studiowałaś te romanse.

— Dobrze! Ja jednak skończyłam te studia głupie, a ty zaczynasz głupotę.

— Dla ciebie wszystko jest głupotą, co nie wchodzi w ramy twego mózgu, a sądząc z twej postaci, ramy nie są zbyt wielkie — zaśmiała się.

— I dukat jest mały i Napoleon był mały.

— Stare frazesy — rzekła Olga.

— Ale zastosowane trafnie na razie.

— E, mniejsza z tem... ale wiesz Heleno, posłałabym chętnie w pole... tak duszno w tym zbiorniku kamienic.

— A oto kwiaty, które hodują — wskazała na małą, obdartą dziewczynę.

W tej chwili do idących podbiegła dziewczynka bosa, w połataniej spodniczce, w brudnej koszulinie i podając bukietik więdnących kwiatków, zapisała:

— Kwiaty... śliczne kwiaty! Mama chora... nas czworo... kupcie panie!

Olga, wyjmując portmonetkę, spytała łagodnym głosem:



— A oto kwiaty, które hodują — wskazała na małą, obdartą dziewczynę.

— Jak się nazywasz, moje dziecko?

— Ja?... Małgosia.

— Gdzie mieszkasz?

Dziewczynka zawahała się, jak błysk przeleciał przez jej zniszczoną twarzyczkę uśmiech chytry i zajęczała:

— Daleko mieszkam... bardzo daleko, a mama chora... nas pięcioro, chleba brakuje.

Olga dała jej pieniądź drobny, hojną stosunkowo zapłatę i odmówiła wzięcia bukietu.

— Mała! — rzekła surowo Helena, marszcząc swe piękne, czarne brwi — dlaczego kłamiesz? Przedtem mówiłaś, że was czworo, za chwilę było pięcioro...

Dziewczynka obejrzała się trwożliwie, zrobiła ruch, gotując się do ucieczki, lecz została i po chwili:

— Nas czworo... a mama piąta... kup piękna pani kwiaty!...

Na rogu ulicy pokazał się policyant i dziecko spostrzegłszy go, umknęło szybko.

— I ona jest biedną, zwyrodniałą rośliną — szepnęła Olga.

— Na trzęsawisku nędzy — dodała z goryczą Helena.

Weszły w ulicę brukowaną, pełną turkotu, hałasu, a ze sklepów, restauracji, z ciasnych po-

dwórzy, wionęły na nie duszne, przykre zapachy i swady.

Przyspieszyły kroku i nie zauważyły, że mężczyźni, zwłaszcza młodzi, przypatrywali się im badawczo, z uśmiechem kokieterijnym, pragnąc zwrócić na siebie uwagę pięknych pań.

Olga z bujnemi blond włosami, w modnym kapeluszu, w kostymie eleganckim, obcisłym, wydawała się wyższą i mimo młodej twarzyczki, biła od niej powaga i spokój. Helena, niższa od niej, ciemna szatynka, przy bystrych, śmiałych oczach miała twarz spokojną, słodką i wdzięczną, zaokrąglone ruchy.

Z jednej z przecznic wyszedł niespodziewanie Zalecki, w zwykłym, zaniedbanym ubraniu, a zobaczywszy idące panny, skłonił się dość niedbale, tylko na wyrazistej twarzy zabłysł uśmiech przyjaźni i rzekł przyłączając się:

— Koleżanki na wykład... jedna nam droga... i jeśli wam nie przeszkadza, pójdziemy razem.

A ponieważ przy spotkaniu na chwilę przystanęli, powiedziała Olga:

— Chodźmy.

— A wy na jaki wykład, kolego — spytała Helena.

— Na historię konstytucji angielskiej; wykład nie tyle mądry, ile modny. A koleżanki?

— Na fizyologię roślin.

— Milszy wykład od mego, bo o żyjących twórcach — uśmiechnął się — ale jeden i drugi wykład darowałbym za godzinę spaceru w polu, za miastem.

— A to ten sam gust, co koleżanka Wojtyrska — zaśmiała się Helena — romantyczne zachcianki.

Olga, leciutko zarumieniona, spojrzała z ukosa na Zaleckiego, który z powagą niezamąconą mówił:

— Koleżanka Browicz — rozmyślnie opuszczał zakończenie ówna, uważając je za przeżytek zależności kobiet — myli się, to nie romantyzm, lecz odczuła potrzeba zmiany warunków otoczenia. Wyrwać się z zatechnionych ulic miasta, z tej atmosfery gorzkiej walki z nędzą, odetchnąć świeżem powietrzem, spojrzeć na naturę, której nie zdołano zepsuć, bywa czasem wprost koniecznością fizyczną.

— Słowa kolegi już mnie przekonały — zaśmiała się swobodnie Olga — po wykładzie pójdę i ja, a może i więcej zbierzę się z „Pochodni“.

W godzinę później gromadka, złożona z Olgi, Heleny i Baumritt, w towarzystwie Zaleckiego, Edmunda i Waldmana, rozmawiając z wielkiemżywieniem o profesorach, wykładach, kolegach i koleżankach, skierowała się za miasto, na dalszy spacer.

Celem wycieczki było wzgórze, skaliste i nagie u szczytu, a zalesione na łagodnych zboczach.

Ożywcy powiew ze szerokich pól i niw, z odległych lasów; widok spokojnej natury, odpoczywającej po trudach lata i oddanych płonach, wśród jasnych i gorących barw i kwiatów, które mimo spóźnionej pory, bliskich szarug i przymrozków jesiennych, zaroily się na rżyskach i ugorach, wylły kojąco na idących, złagodziły złośliwe przytyki Waldmana i umniejszyły kokieteryjne zapędy Fanny Baumritt.

Zanim weszli na leśną drożynę, przystanęli na chwilę.

Spojrzeni na krajobraz.

Z jednej strony rysowała się wyraźnie na tle błękitnem część miasta, z rozrzuconymi wśród drzew podmiejskimi domami, a wprost stojących pod lasem, ciągnęły się szerokie pola, przerznięte drogami, ujętymi w szereg drzew i nasypem kolejowym, po którym sunęła maszyna, rzucająca kłęby dymu i ciągnąca za sobą szereg wagonów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)